LEGENDA O *SENNEJ DOLINIE*

(The Legend of *Sleepy Hollow*)

Washington Irving

Tłumaczenie: Andrzej Ziółkowski

ZNALEZIONE MIĘDZY DOKUMENTAMI NIEŻYJĄCEGO
JUŻ DIEDRICHA KNICKERBOCKERA

Był to przyjemny kraj spokojnych głów,
Marzeń zrodzonych pod półprzymkniętym okiem;
Radosny kraj szybujących w chmurach zamków,
Co rozjaśniały letnie niebo nieprzerwanie.

TWIERDZA SPOKOJU

W sercu jednej z tych rozległych zatoczek, które wcinają się we wschodnie brzegi Hudsonu, w tym szerokim rozlewisku rzeki, której dawni holenderscy żeglarze nadali imię Tappan Zee, i gdzie przepływając roztropnie refowali żagle i prosili o opiekę Świętego Mikołaja, położone jest małe handlowe miasto, albo raczej wiejski port, który przez niektórych nazywany jest Greensburgh, ale który powszechniej i dokładniej znany jest pod nazwą Tarry Town. Nazwę tę nadano mu, jak nam opowiadano, w zamierzchłych czasach, przez zacne gospodynie sąsiedniego kraju, od zakorzenionej skłonności ich mężów do przesiadywania w miejscowej gospodzie w dni targowe. Czy tak było, czy nie, nie mogę zagwarantować, przytaczam te fakty jedynie dla ścisłości i autentyczności. Niedaleko od tej osady, być może około dwóch mil, położona jest niewielka dolina, skrawek ziemi pomiędzy wysokimi wzgórzami, który jest najspokojniejszym miejscem na całym świecie. Przepływa przez nie mały strumyk z szumem mogącym niejednego uśpić; a sporadyczne pogwizdywanie przepiórki albo stukanie dzięcioła to niemal jedyne dźwięki jakie rozbrzmiewają w tej wszechobecnej ciszy.

Przypominam sobie, z młodzieńczych lat, mój pierwszy wyczyn w polowaniu na wiewiórki, które odbywało się w lasku wysokich drzew orzechowych, porastających jedno ze zboczy doliny. Przybyłem w to miejsce w południe, gdy cała przyroda była tak cicha, że aż byłem przerażony hukiem wystrzału mojego własnego karabinu, kiedy zburzył ten niedzielny spokój dookoła i był przedłużony i odbity przez rozgniewane echa. Jeśli kiedykolwiek miałbym zapragnąć oderwać się od świata i jego rozrywek, przespać w spokoju resztę tego ciężkiego życia, nie znam bardziej obiecującego miejsca niż ta mała dolina.

Od zacisznego położenia, a także od wyjątkowego charakteru jego mieszkańców, którzy są potomkami pierwotnych holenderskich osadników, ta odosobniona górska dolina od dawien dawna znana jest pod nazwą *Sennej Doliny*, a jej wiejscy parobkowie, w całej sąsiadującej okolicy, nazywani są Chłopakami z *Sennej Doliny*. Ospały, eteryczny fluid zdaje się wisieć nad ziemią, przenikając całą atmosferę. Podania głoszą, że we wczesnych latach osadnictwa, miejsce to było nawiedzane przez ducha pewnego niemieckiego lekarza; inni, że stary wódz lokalnego plemienia Indian, prorok albo szaman szczepu, organizował tam swe narady zanim ziemie te zostały odkryte przez kapitana Hendricka Hudsona. Pewne jest to, że miejsce wciąż pozostaje jak gdyby pod wpływem jakichś sił nieczystych, które biorą we władanie umysły tych porządnych ludzi, powodując, że chodzą oni w nieustannej zadumie. Mają oni skłonność do wszelkiego rodzaju zdumiewających przekonań, doświadczają transów i wizji, często, jak zapewniają, widzą dziwne rzeczy, słyszą muzykę i głosy w powietrzu. Cała okolica obfituje w fantastyczne opowieści, nawiedzone miejsca i mroczne przesądy; gwiazdy spadają i meteory rozbłyskują nad doliną częściej niż w jakimkolwiek innym zakątku

kraju, a nocna zmora, z jej całym stadkiem mar, zdaje się uczyniła z tego miejsca ulubioną scenę dla swoich tańców.

Dominującym jednakże duchem, który nawiedza ten zaczarowany obszar, i wydaje się być głównodowodzącym wszelkich mocy w powietrzu, jest zjawa konnego jeźdźca bez głowy. Nie wiadomo kim on był. Niektórzy utrzymują, że jest to duch pewnego najemnego żołnierza, któremu kula armatnia urwała głowę w jednej z tych bezimiennych bitew wojny domowej[1], który od czasu do czasu jest widziany przez ludzi z wioski, gdy pędzi przez dolinę pod osłoną nocy, jakby niesiony na skrzydłach wiatru. Jego upiorna egzystencja nie ogranicza się tylko do terenu doliny, ale rozciąga również na sąsiednie gościńce, zwłaszcza te, które przebiegają w pobliżu kościoła. I rzeczywiście, niektórzy z najbardziej wiarygodnych dziejopisów z tych okolic, skrzętnie i krytycznie gromadzący fakty związane ze zjawą, utrzymują, że ciało bezimiennego jeźdźca zostało pochowane na kościelnym cmentarzu, a duch przemierza nocą miejsca, gdzie rozegrała się bitwa, w poszukiwaniu swojej głowy, i że ogromna szybkość z jaką pokonuje dolinę, szybkość błyskawicy, po północy, oznacza, że jest spóźniony i śpieszy się, by zdążyć wrócić na cmentarz zanim nadejdzie świt.

Takie jest ogólnie akceptowane wyjaśnienie legendarnego zjawiska, które wspominane jest w wielu najdziwniejszych opowieściach z tej krainy cieni; zjawa ta znana jest we wszystkich domach i gościńcach pod imieniem Jeźdźca Bez Głowy z *Sennej Doliny*.

Godny odnotowania jest fakt, że ta skłonność do widzenia duchów, o której wspomniałem, nie dotyczy wyłącznie rodowitych mieszkańców doliny, ale jest nieświadomie przejmowana przez każdego, kto przebywa tu jakiś czas. Nieważne jak twardo stąpałby po ziemi przed przyjazdem do tego sennego miejsca, z całą pewnością, po niedługim czasie, wchłonie z powietrza jego nadprzyrodzony fluid, który rozbudzi jego wyobraźnię, aż zacznie śnić sny i widzieć zjawy.

Ze swej strony, wychwalam ten spokojny region szczerze i na wszelkie możliwe sposoby, gdyż w takich małych, ustronnych dolinkach, zasiedlanych u zarania dziejów tego kraju przez holenderskich przybyszów, dolinkach rozsianych tu i ówdzie po rozległym stanie Nowego Jorku, spotkać można ludzi, obyczaje i zwyczaje niezmienione od wieków. Wielki potok migracji i postępu, który dokonuje tak ustawicznych zmian w innych częściach kraju, omija ich niezauważonych. Są oni jak te małe, graniczące z rwącym strumieniem, zakola spokojnej wody, gdzie możemy zobaczyć słomę i bąbelki na wodzie stojące nieruchomo lub wirujące powoli w ich zacisznej przystani, nie niepokojone przez otaczający je rwący prąd rzeki. Choć wiele lat minęło od czasu, gdy przechadzałem się wśród mrocznych cieni *Sennej Doliny*, ciekawi mnie, czy nie mógłbym także dziś, po wielu latach, znaleźć tam te same lasy i spotkać te same rodziny, pędzące swój niezakłócony i niezmienny żywot na jej ustronnym łonie.

W tym oderwanym od świata miejscu osiedlił się, w odległych czasach amerykańskiej historii, powiedzmy jakieś trzydzieści lat temu, zacny człowiek o imieniu Ichabod Crane, który zamieszkiwał, lub, jak sam to określał, pozostawał w *Sennej Dolinie*, jako nauczyciel w tutejszej szkole. Pochodził z Connecticut, stanu, który wspierał Unię w pionierskich czasach, dostarczając zarówno górników, jak ludzi lasu, wysyłając co roku zastępy drwali na pogranicze jak również wiejskich nauczycieli. Nazwisko Crane[2] pasowało do jego osoby. Był wysoki, ale niewiarygodnie chudy z wąskimi barkami, długimi ramionami i nogami, jego ręce wystawały na milę z rękawów, stopy mogły robić za łopaty, a cała jego figura ledwo trzymała się kupy. Jego głowa była mała i płaska od góry, z wielkimi uszami, ogromnymi zielonymi i szklistymi oczami i długim

[1] Chodzi o wojnę o niepodległość Stanów Zjednoczonych. - *Przyp. tł.*

[2] Crane - (ang.) żuraw. *Przyp. tł.*

jak u słonki nosem, tak że wyglądał jak kurek na dachu, wyciągając swą wrzecionowatą szyję aby pokazać, z której strony wieje wiatr. Widząc go kroczącego długimi susami na tle wzgórza w wietrzny dzień, w wydymającym się i powiewającym ubraniu, mógłby go ktoś wziąć za ducha głodu, który zszedł na Ziemię, albo przynajmniej stracha na wróble, który uciekł z pola kukurydzy.

Jego szkoła była niskim budynkiem skleconym z pni drzew, z jednym obszernym pomieszczeniem; okna tylko częściowo oszklone a częściowo połatane kartkami ze starych zeszytów. Budynek był pomysłowo zamykany na czas wolny od zajęć, prętem łoziny skręconym w uchwycie u drzwi i kołkami zapierającymi okiennice od zewnątrz, tak, że choć złodziej mógłby dostać się do środka w prosty sposób, to miałby pewien kłopot z wydostaniem się na zewnątrz, pomysł prawdopodobnie zapożyczony przez budowniczego - Yosta van Houtena - z popularnej pułapki na węgorze. Szkoła znajdowała się w raczej ustronnym, ale jednocześnie przyjemnym miejscu, tuż u stóp zadrzewionego wzgórza, ze strumykiem płynącym nieopodal i samotną brzozą rosnącą przy jednym ze szczytów budynku. Z budynku tego dochodził, słyszalny w senny letni dzień, cichy szmer głosów uczniów, jak brzęczenie pszczół w ulu, ślęczących nad zadaniami; przerywany od czasu do czasu przez apodyktyczny głos nauczyciela grożącego lub nakazującego, albo też, budzący trwogę odgłos aplikowanych rózeg, gdy popędzał on jakiegoś leniwego marudera przez ukwieconą ścieżkę wiedzy. Przyznać trzeba, że był on sumiennym pedagogiem, zawsze noszącym w myślach sentencję: "Oszczędzaj rózgę, a zepsujesz dziecko". Wychowankowie Ichaboda Crane'a z pewnością zepsuci nie byli.

Nie chcę przez to powiedzieć, że był on jednym z tych okrutnych postrachów uczniów, który znajduje przyjemność w znęcaniu się nad swoimi podopiecznymi; wręcz przeciwnie, zaprowadzał dyscyplinę raczej poprzez wyróżnianie niż srogość; przenosił ciężar z barków uczniów słabszych na silniejszych. Wasz zwykły, słabowity młodzieniec, który drżał na sam widok rózgi, traktowany był z pobłażliwością, a potrzeba dyscypliny zaspokajana była poprzez wymierzanie podwójnej kary na niektórych z tych małych ale upartych holenderskich łobuzach w wełnianych ubraniach, którzy dąsali się i stawali się jeszcze bardziej uparci i zawzięci pod rózgami. Ichabod nazywał to "wykonywaniem obowiązku w zastępstwie rodziców" i zawsze kończył karę zapewnieniem, tak pocieszającym dla cierpiącego urwisa, że "zapamięta naukę i będzie mu wdzięczny przez resztę swego życia".

Gdy lekcje się kończyły, stawał się niemal towarzyszem i kumplem silniejszych chłopców; a w świąteczne popołudnia odprowadzał niektórych z młodszych uczniów do domu, zwłaszcza tych, którzy przypadkiem mieli ładne siostry, albo gościnne matki, znane z zasobnych spiżarni. I rzeczywiście miał powód, żeby utrzymywać przyjacielskie stosunki ze swoimi uczniami. Dochód bowiem, jaki uzyskiwał z prowadzenia szkoły był niewielki, ledwie wystarczający na skromne wyżywienie, a Ichabod był wielkim amatorem dobrej kuchni, i chociaż chudy, miał zdolność rozciągania się niemal jak anakonda; ale aby pomóc mu w utrzymaniu się, był on, zgodnie ze zwyczajami panującymi w tej części kraju, wyposażany w wikt i opierunek w domach farmerów, których dzieci uczył. Spędzał u każdego kilka dni, tydzień, przemieszczając się po okolicy z całym swoim dobytkiem zawiniętym w bawełnianą chustę.

Ażeby to wszystko nie było zbyt uciążliwe dla portfeli jego wiejskich opiekunów, którzy koszty kształcenia są skłonni traktować jako zło konieczne, a nauczyciela niemal jak trutnia, miał on wiele sposobów aby okazać się pożytecznym i miłym. Pomagał farmerom w lżejszych pracach na farmie: potrafił grabić siano, naprawiać płoty, poić konie, przyprowadzał bydło z pastwiska i rąbał drzewo na zimę. Nie zważał przy tym na swe stanowisko i absolutną władzę, z którą tak się panoszył w swoim

małym imperium - szkole - i stawał się niezwykle uprzejmy i ujmujący. Znajdował przychylność w oczach matek poprzez zajmowanie się dziećmi, dla których był jak potężny lew, który w dawnych bajkach wspaniałomyślnie chronił jagnięta.

Oprócz tych wszystkich zajęć, Ichabod był również nauczycielem śpiewu i zarabiał trochę błyszczących szylingów, ucząc młodzież śpiewania psalmów. Powodem niemałej dumy było dla niego gdy, wraz z grupą najlepszych uczniów, zajmował pierwsze miejsce przed kościelnym chórem, i gdy, przynajmniej w swoim własnym przekonaniu, górował swoją wokalną sztuką ponad mało donośnym głosem pastora, w czasie niedzielnych nabożeństw. Jego głos rozbrzmiewał ponad całe zgromadzenie, i do dziś w tym kościele można usłyszeć szczególny rodzaj trylu, który za czasów Ichaboda słyszalny był nawet milę dalej, aż po drugiej stronie stawu, przy młynie, w cichy niedzielny poranek; trylu, o którym mówią, że odziedziczony został po nosie Ichaboda Crane'a. Tak więc, opierając się tylko na tych kilku przykładach, widzimy jak zacny pedagog zarabiał na odrobinę szacunku, choć powszechnie uważano - nie wszyscy farmerzy doceniają wysiłek pracy umysłowej - że pędzi cudownie łatwe życie.

Ogólnie rzecz ujmując, nauczyciel jest osobą posiadającą pewne znaczenie w kręgu kobiet z wiejskich okolic; będąc uważany za rodzaj leniwej, ale na wzór gentlemana, osobistości, przewyższający smakiem i ogładą nieokrzesanych wieśniaków i bez wątpienia ustępujący w erudycji tylko pastorowi. Jego obecność powodowała zawsze pewne zamieszanie przy popołudniowej herbatce w wiejskim domu, będąc okazją do podania dodatkowej porcji ciasta lub kandyzowanych owoców, albo też pochwalenia się srebrnym imbryczkiem. Nic więc dziwnego, że nasz nauczyciel odczuwał szczególną radość na widok uśmiechu wiejskich niewiast. Jakże on brylował między nimi na kościelnym dziedzińcu, w czasie niedzielnych nabożeństw; zbierając dla nich winogrona z dzikich winorośli, w które obfitowały okoliczne zagajniki; recytując ku ich uciesze wszystkie epitafia z nagrobków; albo przechadzając się, otoczony całą gromadką, wzdłuż brzegów pobliskiego stawu, podczas gdy bardziej nieśmiali trzymali się lękliwie na uboczu, zazdroszcząc mu jego przewagi w elegancji i wymowie.

Z uwagi na swój pół wędrowny styl życia, stał się on także czymś w rodzaju lokalnej gazety, roznosząc od domu do domu cały asortyment okolicznych plotek, tak, że jego pojawienie się wyczekiwane było zawsze z zainteresowaniem. Co więcej, był on uznawany przez kobiety za człowieka rozległej wiedzy, znał bowiem wiele książek i był niekwestionowanym specjalistą od "Historii czarownic w Nowej Anglii" Cotton Mather'a, w które to historie, nawiasem mówiąc, sam szczerze i mocno wierzył.

W rzeczywistości był on dziwaczną mieszaniną zaradności i naiwnej łatwowierności. Jego ciekawość rzeczy nadprzyrodzonych i jego zdolność przyswajania ich, była równie niezwykła; obie te cechy niewspółmiernie nasiliły się podczas jego pobytu w tej czarującej okolicy. Żadna opowieść nie była zbyt wulgarna albo potworna dla jego bezgranicznej wiary w wiedźmy i czary. Po lekcjach i po zamknięciu szkoły po południu, jego ulubionym sposobem spędzania wolnego czasu było rozsiadanie się na gęstych łanach koniczyny porastającej brzegi strumyka, który szemrał opodal i pochłanianie dawnych, pełnych okropieństw historii Mather'a, aż nadciągający zmrok czynił zadrukowane stronice ledwie mgłą przed jego oczami. Wtedy, kierując się w stronę swojej kwatery, przemierzał ścieżki wijące się pomiędzy bagnami i potokami, wiodące poprzez budzące grozę lasy, a każdy dźwięk natury, o tej godzinie czarownic, trwożył jego rozbudzoną wyobraźnię: jęki puszczyka dochodzące od strony wzgórz, złowieszcze krzyki leśnych ropuch, tych zwiastunów gromów, pohukujące sowy czy nagły trzepot skrzydeł stada małych ptaków wystraszonych z ich kryjówek. Nawet świętojańskie robaczki, które migocąc jasnymi punkcikami na tle mrocznego lasu, potrafiły go zupełnie zaskoczyć, gdy taka niespodzianie pojawiająca się świecąca kulka

przecinała jego ścieżkę; a gdy, przypadkiem, wielki ogłupiały żuk, trzepocąc się w swym niezdarnym locie, obijał się o jego potylicę, wierny druh był gotów stracić ducha, myśląc, że został ugodzony palcem samego Lucyfera. Jego zwykłym w takich okazjach ratunkiem, zarówno żeby odwrócić złe myśli, jak i wszelki nieczysty duch, było śpiewanie psalmów. Zacni mieszkańcy *Sennej Doliny*, siedząc wieczorami przy sieniach swych domostw, słyszeli, przejęci grozą, nosowego zawodzenia, docierającego z odległych wzgórz albo mrocznego gościńca.

Innym sposobem zaspokajania zamiłowania do grozy było spędzanie zimowych wieczorów ze starszymi holenderskimi gospodyniami, gdy siedząc przędły przy kominku, na którym rzędy jabłek skwierczały i pryskały sokami, i wysłuchiwać ich niezwykłych opowieści o duchach, chochlikach, nawiedzanych polach, zauroczonych strumieniach, potępionych duszach na mostach i w domach, do których nikt nie odważy się wejść o północy. Oczywiście, ze szczególną przyjemnością dzieliły się opowieściami o bezgłowym jeźdźcu, o Galopującym Najemniku z *Sennej Doliny*, jak czasami go nazywały. Odwdzięczał im się szczodrze swoją wiedzą i opowieściami o gusłach i strasznych znakach, o złowrogich zjawach i dźwiękach w powietrzu, które pamiętał z dawniejszych czasów swojej młodości i ze swoich rodzinnych stron; straszył je również naukowymi faktami: ponurymi przepowiedniami o kometach zapowiadających wojny, o spadających gwiazdach; zatrważającym faktem, że świat obraca się i przez połowę swojego życia wszyscy chodzą do góry nogami!

Ale jeśli była w tym jakaś przyjemność, gdy wygodnie tulił się w rogu kominka, w pokoju, który oświetlał czerwonym żarem palącego się drzewa i gdzie żadna zjawa nie śmiała pokazać swej twarzy, to trzeba było to drogo opłacić strachem wracając późną porą do domu. Jakież zatrważające kształty i cienie zagradzały mu drogę, pośród ciemnego i upiornego mroku śnieżnej nocy! Z jak niepewnym spojrzeniem mierzył swoim okiem każdy drżący promień światła, rzucany na puste pola z niektórych odległych okien! Jak często był zaskakiwany przerażającym widokiem krzaków pokrytych śniegiem, które, jak ukryte widma, stawały mu nagle na drodze! Jak często cofał się z mrożącym krew w żyłach przerażeniem na dźwięk swoich własnych kroków, chrupiących na zmarzniętej powierzchni pod jego stopami; a jak bardzo obawiał się spojrzeć za siebie, żeby nie zobaczyć jakiejś upiornej postaci kroczącej tuż za nim! I jak często wpadał w panikę przez nagły trzask dochodzący spomiędzy drzew, myśląc, że to Galopujący Najemnik w jednej ze swych nocnych wycieczek!

Wszystko to, jednakże, było zaledwie horrorem nocy, zjawami stworzonymi przez wyobraźnię podczas nocnego marszu; chociaż widział wiele upiorów w swym życiu, i nie raz zastępował mu drogę sam Szatan pod różnorodną postacią w jego samotnych przechadzkach, jednak świt nieodmiennie kładł kres całemu temu złu; i pędziłby całkiem przyjemne życie, pomimo Diabła i wszelkich jego dzieł, gdyby na jego drodze nie pojawiła się istota, która rzuciła na niego większy postrach niż duchy, chochliki i cała rasa wiedźm razem wzięta. A istotą tą była kobieta.

Pomiędzy jego uczniami śpiewu, którzy jeden wieczór w tygodniu zbierali się, aby uczestniczyć w jego lekcjach śpiewania psalmów, znalazła się Katarzyna Van Tassel - córka i jedyna spadkobierczyni zamożnego holenderskiego farmera. Była ona w pełnym kwiecie swych osiemnastu lat; pulchna jak kuropatwa; dojrzała i wrażliwa, wiecznie zarumieniona jak jedna z brzoskwiń jej ojca i powszechnie znana, nie tylko ze swej urody, ale także ogromnego posagu. Była ona przy tym odrobinę kokieteryjna, co można było zauważyć nawet w jej stroju, który był mieszaniną dawnej i bardziej nowoczesnej mody, a który, jak większość kreacji, miał za zadanie eksponować jej wdzięki. Nosiła ozdoby z czystego złota, które jej praprababka sprowadziła z Saardam;

kuszący gorset w dawnym stylu i do tego prowokująco krótki płaszczyk, aby zawracać chłopcom głowę najbardziej uroczą stopą i kostką w całej okolicy.

Ichabod Crane miał miękkie i naiwne serce do płci przeciwnej; nie można się więc dziwić, że taka atrakcyjna kobieta szybko znalazła uznanie w jego oczach, zwłaszcza po odwiedzinach w jej rodzinnej posiadłości. Stary Baltus Van Tassel był wzorem wspaniale prosperującego, zadowolonego, szczodrego farmera. Często, co prawda, interesował się sprawami daleko wychodzącymi poza granice jego gospodarstwa, ale w samej posiadłości wszystko było wygodne, szczęśliwe i w doskonałym stanie. Był zadowolony ze swej zamożności, ale nie był dumny; i bardziej szczycił się swą hojnością niż poziomem swojego życia. Jego twierdza usytuowana była tuż nad brzegiem Zatoki Hudsona, w jednej z tych zielonych, ukrytych, żyznych zatoczek, w których holenderscy farmerzy tak bardzo lubią się osiedlać. Ogromny wiąz rozkładał swe rozłożyste gałęzie ponad zabudowania, u stóp których kipiał strumień najmiększej i najsłodszej wody, formując zbiornik w niewielkiej studzience, skradając się dalej i pieniąc w trawie, wpadał do pobliskiej rzeczki, która szemrała pomiędzy olchami i karłowatymi wierzbami. Tuż obok domu znajdowała się ogromna stodoła, tak obszerna, że mogłaby służyć za kościół; każde okno i szczelina tego budynku zdawały się rozbłyskiwać skarbami gospodarstwa; cepy pracowicie stukały wewnątrz od rana do wieczora; jaskółki i oknówki świergocąc szybowały dookoła sklepienia; a rzędy gołębi, jedne z okiem zwróconym ku górze, jakby badając pogodę, inne z głowami ukrytymi pod skrzydłami lub zagrzebanymi w pióra na piersiach, a jeszcze inne puszące się, gruchające i kłaniające wokół swych pań, cieszyły się słońcem, przesiadując na dachu. Błyszczące, nieporadne wieprze leżały wypoczywając w swych ogromnych zagrodach, z których, od czasu do czasu, wyruszało stadko macior, jakby dla zaczerpnięcia powietrza. Majestatyczny oddział śnieżnobiałych gęsi taplał się w pobliskiej sadzawce otoczony całymi stadami kaczek; zastępy indyków gulgotały na podwórzu, a wokół nich, perliczki, irytowały swym drażniącym, niezadowolonym krzykiem, przypominającym głos hardej gospodyni. Przed drzwiami stodoły przechadzał się elegancki kogut, ten wzór męża, wojownika i gentlemana, trzepocąc swymi połyskującymi skrzydłami i pieją z dumy i zadowolenia z całego serca; czasami rozgarniał swoją stopką ziemię, nawołując w ten szarmancki sposób swą wiecznie głodną gromadę żon i dzieci, aby cieszyły się pożywnym kąskiem, który właśnie odkrył.

Ślinka ciekła z ust nauczyciela, gdy myślał o tej okazałej zapowiedzi luksusowych zimowych jadłospisów. Jego zachłanna wyobraźnia rysowała mu obraz pieczonych świń podawanych w leguminie z jabłkami w ryjkach; gołębie w smakowitym cieście i z chrupiącą skórką przynoszone prosto do łóżka; gęsi pływały w sosie własnym; a kaczki podane wybornie po dwie na tacy, jak nowo zaślubione pary, obficie zaopatrzone w sos cebulowy. U wieprzków widział on wykrajany lśniący boczek i soczystą, smakowitą szynkę; każdy indyk zręcznie przewiązany sznurkiem przed pieczeniem, z wolem pod skrzydełkiem, a być może nawet naszyjnikiem ze smakowitych i tłustych kiełbasek; nawet połyskujący kogut w sosie własnym leżał rozłożony na grzbiecie na talerzu obok, z uniesionymi pazurami, jak gdyby domagał się łaski, którą jego kawaleryjski duch pogardzał za życia.

Gdy zauroczony własną wizją Ichabod wszystko to sobie uzmysłowił, i gdy ogarnął swymi wielkimi, zielonymi oczami pastwiska z dorodną trawą, żyzne pola pszenicy, żyta, gryki i kukurydzy, sady obładowane świeżymi owocami, które otaczały słoneczną posiadłość Van Tassela, jego serce gorąco zapragnęło kobiety, która miała odziedziczyć te dobra. Ale jego dziwna wyobraźnia rozwinęła przed nim zupełnie bezsensowną wizję, jak mogliby to łatwo spieniężyć, a gotówkę zainwestować w zakup niezmierzonych obszarów dzikiej ziemi i kamiennych pałaców na pustkowiu. Co więcej, jego żywa

imaginacja już zrealizowała te nadzieje, i ukazała mu kwitnącą Katarzynę, z całą gromadą dzieci, usadowioną na szczycie wozu wyładowanego domowym dobytkiem, z kankami i kociołkami dyndającymi poniżej; i ujrzał samego siebie siedzącego okrakiem na wolno stąpającej klaczy, ze źrebięciem u jej boku, wyruszającego do Kentucky, Tennessee, albo Bóg wie gdzie!

Gdy po raz pierwszy wszedł do domu, jego serce zostało ostatecznie oddane sprawie. Był to jeden z tych przestronnych domów farmerskich, z wysokim i nisko schodzącym dachem, zbudowany w stylu przejętym po pierwszych holenderskich osadnikach; niska konstrukcja poddasza formowała rodzaj werandy wzdłuż frontonu budynku, z możliwością nakrycia jej w czasie złej pogody. Pod tym poddaszem wisiały cepy, uprząż, różnorodne narzędzia rolnicze i sieci do połowu ryb w pobliskiej rzece. Wzdłuż boków werandy ustawione były ławy do użytku w czasie lata; w jednym z końców stał ogromny kołowrotek a w drugim maślniczka, pokazujące dla jak różnych zajęć przeznaczone było to ważne miejsce. Zachwycony Ichabod przeszedł do hallu, który stanowił centrum domostwa i codziennego życia. Tu, rzędy świecących naczyń cynowych wypełniały półki długiego kredensu, migocąc w jego oczach. W jednym kącie stał ogromny wór z wełną przygotowaną do przędzenia; w drugim duża ilość lnianych tkanin, prosto z warsztatu tkackiego; kolby kukurydzy, sznury suszonych jabłek i brzoskwiń, wiszące na ścianach w barwnych girlandach, wymieszane były ze sztukami czerwonej papryki; a uchylone drzwi po lewej stronie dały mu sposobność zerknięcia do wystawnego salonu, gdzie ozdobne krzesła i mahoniowe stoły błyszczały jak zwierciadła; przykominkowy osprzęt, kraty, szczypce, szufla, połyskiwały ze swej półki pokrytej od góry szparagami; sztuczne pomarańcze i morskie muszle ozdabiały obramowanie kominka; rzędy różnokolorowych ptasich jaj zawieszone były ponad nim; ogromne strusie jajo zajmowało miejsce pośrodku ściany, a szafa narożnikowa, być może umyślnie pozostawiona otwarta, ukazywała dużej wartości skarb złożony ze starych sreber i kunsztownej chińskiej porcelany.

Od chwili, gdy Ichabod poznał naocznie tę zachwycającą krainę, jego umysł nie mógł odzyskać spokoju, bo zawładnęła nim myśl, jak mógłby zdobyć przychylność niezrównanej córki Van Tassela. W przedsięwzięciu tym bowiem dostrzegał więcej trudności niż miał przed sobą dawny błędny rycerz, który potrzebował jedynie rozprawić się z olbrzymami, czarownikami, ziejącymi ogniem smokami i innymi łatwymi do pokonania przeciwnościami, aby po zwalczeniu ich przebyć drogę, nierzadko forsując żelazne i spiżowe bramy i niewzruszone mury, do zamkowej wieży, gdzie więziona była dama jego serca; wszystko to wydawało się tak łatwe do osiągnięcia, jak łatwo dostać się do środka bożonarodzeniowego tortu; a wtedy dama jego serca oddawała rękę swemu bohaterowi bez najmniejszego oporu. Ichabod, niestety, musiał przebyć drogę do serca osiemnastoletniej kokietki, najeżoną całym labiryntem zachcianek i kaprysów, które zawsze stwarzały nowe trudności i przeszkody; musiał też stawić czoła czeredzie strasznych zalotników, przeciwników z krwi i kości, całej gromadzie lokalnych wielbicieli, którzy czaili się przed każdym wejściem do jej serca, trzymając trzeźwe i gniewne oko na pozostałych, gotowi w każdej chwili rzucić się, pod byle pretekstem, na przeciwnika.

Pomiędzy nimi, najbardziej kłopotliwym okazał się krzepki, hałaśliwy, awanturujący się watażka o imieniu Abraham, lub, zgodnie z holenderskim oryginałem, Brom Van Brunt, miejscowy bohater, słynny ze swoich twardych i szybkich pięści. Był mocno zbudowany, barczysty i giętki, z krótko przyciętymi czarnymi włosami i rubaszną, ale bez przesady, pewnością siebie, miał wygląd człowieka, który był połączeniem wesołości i arogancji. Od swej herkulesowej budowy i wielkiej siły ramion otrzymał przydomek "Brom Bones", pod którym był powszechnie znany. Słynął z

dużej sprawności i znajomości jazdy konnej. Na koniu był zwinny jak Tatar. Przodował we wszelkich wyścigach i bijatykach, z przewagą, jaką siła fizyczna zawsze daje w realiach wiejskiego życia, był wyrocznią w różnorodnych sporach, zakładając swój kapelusz na bakier, i wypowiadając swoje decyzje z miną i tonem, który nie dopuszczał żadnych sprzeciwów czy poprawek. Zawsze był gotów do walki z innymi albo do zwykłych wygłupów; zawsze było w tym więcej psoty niż złośliwości; z całą swą prostolinijną powierzchownością, posiadał sporą domieszkę dobrego, kpiarskiego humoru. Miał trzech, czy czterech wesołych kompanów, którzy uważali go za swój wzór, i na czele których grasował po okolicy, uczestnicząc w każdej bijatyce i hecy w promieniu wielu mil. W zimowe dni wyróżniał się futrzaną czapką zwieńczoną lisią kitą; a gdy ludzie z wioski, zgromadzeni przy różnych okazjach dostrzegali tę słynną kitę z daleka, podskakującą pomiędzy grupą innych jeźdźców, cichli i powstrzymywali się od najdrobniejszych prowokacji. Czasami jego banda była słyszana jak w środku nocy przejeżdżała obok zabudowań, krzycząc i hałasując, niczym oddział dońskich Kozaków; starsze panie, wyrywane w ten sposób ze snu, przysłuchiwały się chwilę rozlegającemu się tętentowi, a potem wołały: "A jakże, to Brom Bones ze swoją watahą." Sąsiedzi patrzyli na niego z mieszaniną grozy, podziwu i życzliwości; a gdy jakiś wariacki wygłup lub wiejska awantura zdarzyła się w okolicy, zawsze potrząsali głowami i zapewniali, że Brom Bones musiał maczać w tym palce.

Ten napuszony bohater, upatrzył sobie od pewnego czasu piękną Katarzynę, jako obiekt swych bezpośrednich zalotów i chociaż jego miłosne starania przypominały, łagodnie mówiąc, umizgi i pieszczoty niedźwiedzia, jednak szeptano tu i ówdzie, że ona wcale nie była tak zupełnie przeciwna jego zamiarom. Pewne jest to, że te zabiegi były sygnałem dla pomniejszych kandydatów do wycofania się, dla tych, którzy nie mieli ochoty przeszkadzać lwu w jego miłostkach; i to do tego stopnia, że gdy widziano jego konia uwiązanego do ogrodzenia Van Tassela w niedzielne wieczory - pewny znak, że jego pan zaleca się, lub, jak mówiono, "smali cholewy" w domu - wszyscy inni konkurenci z rezygnacją przejeżdżali obok i kierowali swą uwagę na inne tereny.

Taki był ten budzący trwogę rywal, z którym Ichabod Crane musiał się zmierzyć i, zważywszy wszystko, dzielniejsi niż on ustąpiliby pola w tej rywalizacji, a mądrzejszy dałby za wygraną. Jednakże on miał fortunną mieszaninę giętkości i wytrwałości w swej naturze; był on w usposobieniu i duchu jak sprężysta łodyga, twardy; chociaż uginał się, nigdy nie łamał; i chociaż poddawał się najmniejszym naciskom, jednak, gdy tylko ustawały - szast-prast! - Wstawał wyprostowany podnosząc głowę wysoko jak zwykle.

Stawanie do otwartej walki przeciwko silniejszemu rywalowi byłoby szaleństwem; ponieważ nie był on człowiekiem, który mógłby pokrzyżować plany komuś, kto w swych amorach przypominał tego namiętnego kochanka - Achillesa. Ichabod zatem pracował nad swymi zamiarami za pomocą cichych i łagodnie ujmujących środków. Często odwiedzał farmę, pod płaszczykiem swej posady nauczyciela śpiewu; nie żeby uniknąć wścibskiej ingerencji rodziców, którzy często bywają utrapieniem na ścieżce kochanków. Balt Van Tassel był bardzo uległą duszą; kochał swą córkę bardziej nawet niż swą fajkę i, jako rozsądny człowiek i wspaniałomyślny ojciec, pozwalał Katarzynie robić wszystko, na co miała ochotę. Jego szlachetna, mała żona miała wystarczająco dużo zajęcia w gospodarstwie i przy drobiu; ponieważ, jak rezolutnie zauważała, kaczki i gęsi to głupie stworzenia, którymi trzeba się zajmować, natomiast dziewczęta mogą zadbać o siebie same. Tak więc, gdy zapracowana gospodyni krzątała się wokół gospodarstwa, lub była zajęta przy kołowrotku w jednym końcu werandy, zacny Balt siedział w drugim, pykając ze swojej fajki i obserwując wyczyny małego drewnianego wojownika, który, uzbrojony w miecz w wyprostowanym ramieniu, najdzielniej jak

umiał, walczył z wiatrem na szczycie stodoły. Tymczasem Ichabod kontynuował swe starania o córkę nad brzegiem strumyka pod rozłożystym wiązem, albo przechadzając się przy świetle dogasającego dnia, o godzinie najbardziej odpowiedniej dla miłosnych szeptów.

Zapewniam, że nie mam najmniejszego pojęcia, jak serca kobiet są okrążane i zdobywane. Zabiegi takie zawsze były dla mnie sprawą tajemniczą i godną podziwu. Niektóre kobiety zdają się posiadać tylko jeden słaby punkt lub drogę wstępu; podczas gdy inne mają tysiące alejek i mogą być zdobywane na tysiące różnych sposobów. Jest wielkim triumfem zręczności wygrać tę pierwszą, ale jeszcze większym dowodem sztuki jest utrzymać w posiadaniu tę drugą, ponieważ mężczyzna musi walczyć o swą twierdzę przy każdych drzwiach i wszystkich oknach. Ten, który podbił tysiące zwykłych serc zasługuje na swego rodzaju chwałę, ale ten, który trzyma niezaprzeczalną władzę nad sercem kokietki, jest prawdziwym bohaterem. Pewne jest, że dla niezwyciężonego Brom Bones'a, rzecz tak się nie przedstawiała, bo od chwili, gdy Ichabod rozpoczął swe starania, panna wyraźnie przestała interesować się Bromem i jego koń nie był więcej widziany przy ogrodzeniu w niedzielne wieczory; skutek był taki, że wypowiedział on wojnę na śmierć i życie nauczycielowi z *Sennej Doliny*.

Brom, który miał naturę prostego awanturnika, chętnie poprowadziłby sprawy do otwartego starcia i rozstrzygnął ich spór o rękę damy zgodnie z obyczajem tych konkretnych i prostych umysłów - błędnych rycerzy średniowiecznych czasów - w jednym pojedynku; ale Ichabod był zbyt świadomy druzgocącej przewagi rywala aby przyjąć takie wyzwanie; słyszał opowieści o Bromie, o tym, że "jest dwa razy większy od nauczyciela i rozłoży go na deskach jego własnej szkoły;" i był zbyt ostrożny aby stworzyć ku temu sposobność. Było coś nadzwyczaj prowokującego w tym kunktatorsko pokojowym systemie; nie pozostawiał on Bromowi wyboru, mógł on jedynie korzystać ze swego kapitału prostackich dowcipów, które umiał wymyślać na poczekaniu i w niewybredny sposób atakować swego rywala bezlitosnymi kawałami. Ichabod stał się wkrótce obiektem wymyślnych prześladowań przez Bones'a i jego zgraję kompanów. Zburzyli oni spokojny dotychczas żywot wiejskiego nauczyciela; wykurzyli (dosłownie) uczniów z jego szkoły śpiewu, zatykając komin; włamali się nocą do szkoły, pomimo jej przemyślnego zabezpieczenia prętem łoziny i zapierającymi okna kołkami i wywrócili wszystko do góry nogami, tak że biedny pedagog zaczął podejrzewać, że wszystkie wiedźmy z okolicy zorganizowały tam swe spotkanie. Ale najbardziej dokuczliwe było to, że Brom uczynił z niego przedmiot żartów w obecności jego damy, znalazł bowiem łotra, którego nauczył zawodzić w najbardziej prześmiewczy sposób, przedstawiając go jako rywala Ichaboda w lekcjach śpiewu.

W ten sposób sprawy toczyły się przez jakiś czas, bez widocznych efektów względem sytuacji walczących stron. Pewnego pięknego, jesiennego popołudnia Ichabod siedział w rozmarzonym nastroju na wysokim jak tron krześle, z którego miał zwyczaj przypatrywać się swemu szkolnemu królestwu. W ręku obracał skuwkę, swoje berło despotycznej władzy, brzozowa rózga do wymuszania posłuchu spoczywała na trzech gwoździach powyżej jego tronu - wierna groźba dla krnąbrnych podopiecznych, podczas gdy na biurku, tuż przed nim, można było zobaczyć cały wybór przemycanych do szkoły przedmiotów i zakazanej broni, wykrytej u leniwych łobuzów; były tam na pół zjedzone jabłka, rurki do strzelania kukurydzą, bąki, łapki na muchy, i całe mrowie fantazyjnych małych papierowych zabawek. Najwidoczniej ostatnio miał miejsce jakiś przerażający akt wymierzania sprawiedliwości, ponieważ jego uczniowie, co do jednego, byli pracowicie zajęci nad swoimi książkami, albo chytrze szepcący spoza nich, z jednym okiem obserwującym nauczyciela; tak że w całej klasie panowała cicha atmosfera spokoju. Nagle spokój ten został przerwany przez pojawienie się

czarnoskórego chłopca w zgrzebnej marynarce i spodniach, ze strzępami kapelusza na głowie, przypominającym nakrycie głowy Merkurego i dosiadającego narowistego, dzikiego, na pół poskromionego źrebaka, dla którego kawałek sznurka służył za całą uprząż. Podjechał stukając kopytami, pod drzwi szkoły i przekazał Ichabodowi zaproszenie na zabawę lub "potańcówkę", która ma się odbyć tego wieczoru u Mynheer Van Tassel; i przekazawszy swoją wiadomość z miną wielkiej powagi i wysilając się na jak najlepszą wymowę, której Murzyni często używają przy tego rodzaju okazjach, wskoczył na swego wierzchowca, przesadził strumień i popędził w kierunku doliny, przepełniony ważnością i pilnością swojej misji.

Cały spokój, panujący dotąd w klasie, zamienił się w jeden wielki gwar i zamęt. Uczniowie w pośpiechu przerobili zadania, nie zatrzymując się na drobiazgach; ci, którzy byli bardziej sprytni przeskakiwali przez pół zadania bezkarnie, a ci powolni popędzani kuksańcami w plecy, albo dla zwiększenia szybkości, albo żeby pomóc im przebrnąć przez trudniejsze słowo. Książki zostały porzucone na boku bez zwykłego układania ich na półkach, kałamarze z atramentem przewrócone, ławki powywracane a uczniowie, zwolnieni godzinę przed zwykłym czasem, wysypali się z budynku jak stado małych warchlaków, wydzierając się i dokazując na trawie w radości z wczesnego zakończenia lekcji.

Szarmancki Ichabod spędził tym razem przynajmniej pół godziny więcej nad swą toaletą, czesząc i odświeżając swój najlepszy, a zarazem jedyny surdut w kolorze rdzawej czerni i układając swoje włosy w kawałku rozbitego lustra, który wisiał na szkolnej ścianie. Aby przed swoją damą wyglądać jak prawdziwy rycerz, pożyczył konia od farmera, u którego podówczas pozostawał - narwanego, starego Holendra o nazwisku Hans Van Ripper i tak elegancko przygotowany, wyruszył, jak prawdziwy błędny rycerz, na poszukiwanie przygód. Ale może, trzymając się ducha romantycznej historii, należy tutaj dać pobieżny opis wyglądu i wyposażenia mojego bohatera i jego rumaka. Zwierzę, którego dosiadał było steranym koniem do orki, który utracił prawie wszystkie cechy swojego gatunku oprócz nieokiełznanej narowistości. Był wychudzony i kudłaty, z owczą grzywą i łbem jak młot; jego rudawa grzywa i ogon były splątane w kudły; jedno oko stracił wierzchowiec Ichaboda lata wcześniej, został tylko oczodół, który wyglądał upiornie, za to drugie miało w sobie błysk diabelskiego ducha. I zapewne musiał mieć ogień i temperament w czasach swej młodości, o ile można wnioskować z imienia, które nosił - Proch[3]. Faktycznie był ulubionym ogierem swego pana, cholerycznego Van Rippera, który był zawołanym jeźdźcem, i musiał oddać niemało swojego temperamentu zwierzęciu, ponieważ koń, choć pozornie stary i podłamany, posiadał w sobie więcej ukrytego diabła, niż niejeden młody źrebak w okolicy.

Ichabod był odpowiednim jeźdźcem dla takiego rumaka. Jechał na krótkich strzemionach, które windowały jego kolana niemal do wysokości łęku siodła; jego łokcie zadarte były do góry jak u konika polnego; trzymał swój bat w wyprostowanej w górę ręce, jak berło, a gdy koń podrzucał go w górę, ruch jego ramion przypominał trzepot pary skrzydeł. Mały, wełniany kapelusz opierał się u szczytu nosa, bo tak chyba można nazwać wąski pasek jego czoła, a poły czarnego surduta powiewały, sięgając niemal końskiego ogona. Tak prezentował się Ichabod wraz ze swym wierzchowcem, gdy, powłócząc nogami, wyjeżdżał z bramy Hansa Van Rippera. Trzeba dodać, że był to widok, który rzadko można zobaczyć w biały dzień.

A jak wspomniałem, był to piękny, jesienny dzień; niebo było przejrzyste i bezchmurne, a przyroda przybrana w złociste, wspaniałe barwy, jakie zawsze łączymy

[3] Gunpowder - (ang.) proch strzelniczy - *Przyp. tł.*

z wyobrażeniem bogactwa. Lasy okryte były odcieniem żółto-brązowym, podczas gdy niektóre z drzew drobniejszego gatunku były przyprószone przez przymrozek do połyskującego odcienia oranżu, purpury i szkarłatu. Wysoko w górze można było dostrzec rzędy przelatujących dzikich gęsi; odgłosy wiewiórek dochodziły z bukowych zagajników i leszczyny, a melancholijny, przerywany świst przepiórki z okolicznych ściernisk.

Drobne ptactwo zbierało się na pożegnalnych bankietach. W pełni tej biesiady trzepotały skrzydłami, świergotały i przeskakiwały z krzaczka na krzaczek, z drzewa na drzewo, kapryśne z powodu wielkiej obfitości i różnorodności, która je otaczała. Był tam szacowny samiec wędrownego drozda, ulubiony ptak łowny początkujących myśliwych, ze swoim głośnym, zrzędnym śpiewem; świergocące kosy, latające w ciemnych gromadach; dzięcioły ze złotawymi skrzydłami i karmazynowymi piersiami, czarnymi grzbietami i wspaniałym upierzeniem; ptak cedrowy ze swoimi czerwono zakończonymi skrzydłami, żółto obramowanym ogonkiem i małym, zawadiackim czubkiem z piór na łebku; niebieska sójka, ten głośny fanfaron w swoim wesołym jasno-niebieskim płaszczyku i białej koszuli, pokrzykująca i szczebiocąca, kiwająca się, podskakująca i kłaniająca, udająca, że jest w najlepszej komitywie z każdym śpiewakiem w gaju.

Gdy Ichabod, podskakując ospale w siodle, przemierzał wiejską drogę, jego oko, zawsze otwarte na każdą oznakę kulinarnej obfitości, zerkało z upojeniem na skarby wybujałej jesieni. Z każdej strony widział ogromne zapasy jabłek; niektóre gęsto porastające gałęzie drzew, inne zebrane w koszach i skrzyniach na targ; jeszcze inne nagromadzone w wysokie kopce do przerobu na jabłecznik. Dalej widział niekończące się łany kukurydzy ze złotymi kolbami, wychylającymi się z ich liściastych kryjówek i chowające w sobie obietnicę przyszłych ciast i puddingów; żółte dynie, leżące pod nimi, obracające swe rozrosłe, okrągłe brzuchy do słońca i dające duże nadzieje na najsmakowitsze wypieki; a nieco dalej mijał pachnące pola gryki, wydzielające zapach pszczelnych uli, a gdy je ujrzał, czułe przeczucie ogarnęło jego umysł - smakowite kromki, dobrze wysmarowane masłem i pokryte miodem lub melasą, przygotowane delikatną, małą, zgrabną dłonią Katarzyny Van Tassel.

W ten sposób, karmiąc swą wyobraźnię wieloma słodkimi myślami i "słodkimi oczekiwaniami", przejechał wzdłuż podnóża pasma wzgórz, które patrzyły z góry na wybrane najwspanialsze fragmenty krajobrazu potężnej Zatoki Hudsona. Słońce stopniowo kryło swoją szeroką tarczę na zachodzie. Szerokie rozlewisko Tappan Zee połyskiwało lustrzaną, nieruchomą powierzchnią, z wyjątkiem miejsc, gdzie, od czasu do czasu, łagodna fala szarpała niebieski cień odległej góry. Nieliczne bursztynowe chmury wisiały na niebie bez najmniejszego podmuchu wiatru, który mógłby je przesunąć. Horyzont miał urzekający złoty odcień, zmieniający się powoli w czystą jabłkową zieleń, a potem w głęboki granat wieczornego nieba. Ukośny promień zachodzącego słońca rozciągał się na zadrzewione grzbiety przepaści, które wystawały nad niektórymi odcinkami rzeki, pogłębiając jeszcze ich ciemno-szare i purpurowe, skaliste ściany. Mały jacht kołysał się na wodzie w oddali, dryfując powoli z przypływem, jego żagle zwisały bezużytecznie na maszcie; a odbijające się na lustrzanej tafli niebo sprawiało, że łódź zdawała się unosić w powietrzu.

Zapadał już wieczór, gdy Ichabod dotarł wreszcie do rezydencji państwa Van Tassel, którą zastał zatłoczoną dumą i kwiatem całej okolicy. Byli tam starzy farmerzy - rasa ludzi oszczędnych, ze śniadą cerą, w płaszczach i spodniach z samodziału, niebieskich pończochach i wielkich butach ze wspaniałymi cynowymi zapięciami. Ich rześkie, choć lekko już nadwiędnięte małe żony, w gęsto plisowanych kapeluszach, żakietach z długimi dekoltami, samodziałowych sukniach, z nożycami i poduszeczkami na igły

i barwnymi perkalowymi torebeczkami zwisającymi u ich bioder. Hoże dziewczęta, niemal tak samo staromodne jak ich matki z wyjątkiem tego, że słomiane kapelusze, gustowne wstążki i czasami białe sukienki, stanowiły oznakę wpływu współczesnej mody z miasta. Synowie w krótkich płaszczach z kwadratowymi połami i rzędami dziwacznych blaszanych guzików, włosy mieli na ogół zaplecione w warkocz na modłę czasów, zwłaszcza jeśli byli w stanie w tym celu wykorzystać skórę węgorza, która w całym kraju uważana była za silną odżywkę wzmacniającą także włosy.

Jednak główną postacią na tej scenie był Brom Bones, który przyjechał na zabawę na swoim ulubionym wierzchowcu - Szaleńcu - stworzeniu takim jak on sam, pełnym zapału i złośliwości, którego tylko on potrafił poskromić. Brom był bowiem znany z tego, że gustował w najbardziej narowistych zwierzętach, tych mających skłonność do wszelkiego rodzaju sztuczek mających za jedyny cel utrzymywanie jeźdźca w ciągłym zagrożeniu dla skręcenia karku; Brom bowiem uważał, że spokojne, dobrze ujeżdżone konie, są wstydem dla mężczyzny z temperamentem.

Z prawdziwą przyjemnością pozwolę sobie na krótką dygresję aby opisać w większych szczegółach ten czarujący świat, który wyłonił się przed zachwyconym wzrokiem mojego bohatera w momencie, gdy przekraczał on bramy posesji Van Tasselów. I nie chodzi mi tu o to grono hożych dziewcząt w swych zbytkownych strojach, w czerwieni i bieli, nie to; mam na myśli niebywały urok prawdziwego, holenderskiego stołu, w czas wspaniałej wiejskiej jesieni. Te naładowane z górą tace z ciastami tak różnorodnych gatunków, że prawie niemożliwe jest wymienić je wszystkie z imienia, znanym tylko najbardziej doświadczonym holenderskim gospodyniom! Był tam mięsisty pączek i delikatne, tradycyjne holenderskie ciasto, chrupiący i kruchy faworek; słodkie wypieki i suche biszkopty, ciasta imbirowe i miodowe, cała rodzina innych ciast. Dalej były placki z jabłkami i z brzoskwiniami, ciasta z dyni. A poza tym plastry szynki, wędzony boczek; i szczególnie smakowite konfitury ze śliwek, brzoskwiń, gruszek i pigwy; że nie wspomnę o wędzonej alozie i pieczonych kurczakach; razem z dzbankami mleka i śmietany, wszystko bezładnie wymieszane, bardzo podobnie, jak ja je tu wyliczyłem, z macierzyńskim imbrykiem do herbaty, wypuszczającym ze swego wnętrza obłoki pary pośrodku tego wszystkiego. Boże błogosław tak wspaniały fach! Chciałbym mieć więcej miejsca i czasu, aby opisać ten bankiet tak, jak na to zasługuje, ale nagli mnie konieczność kontynuowania mojej opowieści. Na szczęście Ichabod Crane nie śpieszył się aż tak bardzo, jak jego kronikarz, i poświęcił należytą uwagę każdemu przysmakowi.

Ichabod był uprzejmym i wdzięcznym człowiekiem, którego serce rosło proporcjonalnie do napełniania się jego ciała dobrym jedzeniem, a którego nastrój poprawiał się w miarę jedzenia, jak u niektórych w czasie spożywania alkoholu. Nie mógł też uniknąć, wodząc podczas jedzenia swymi wielkimi oczami dookoła siebie, wesołej myśli, że pewnego dnia będzie on panem tego niemal niewyobrażalnego luksusu i przepychu. Myślał też sobie, jak to wkrótce będzie mógł porzucić pracę w szkole, lekceważąco zignorować Hansa Van Rippera i wszystkich pozostałych skąpych gospodarzy, u których gościł i wyrzucić za drzwi każdego wędrownego nauczyciela, który ośmieli się nazwać go kolegą!

Stary Baltus Van Tassel krzątał się pomiędzy swymi gośćmi z obliczem rozpłomienionym zadowoleniem i wyśmienitym humorem, zaokrąglonym i wesołym jak księżyc w pełni. Jego gościnne uprzejmości były krótkie, ale gorące, poprzestawał na uściśnięciu ręki, klepnięciu po ramieniu, głośnym śmiechu i nie znoszącym sprzeciwu zaproszeniu do "siadania i rozgoszczenia się."

I nagle dźwięk muzyki z głównego salonu, lub hallu domu, wezwał do tańca. Muzykiem był pewien stary, siwowłosy Murzyn, który pełnił rolę wędrownej orkiestry

w okolicy od ponad pół wieku. Jego instrument był tak stary i sponiewierany jak on sam. Przez większą część czasu szarpał dwie czy trzy struny, akompaniując sobie skłonami głowy; kłaniał się niemal do podłogi i przytupywał nogą gdy tylko nowa para zaczynała tańczyć.

Ichabod był tak samo dumny ze swego talentu tanecznego jak z talentu wokalnego. Żadna kość, żadna tkanka nie pozostawała bierna; jeśli zobaczylibyście jego giętkie ciało w pełnym ruchu, podskakujące po całym pokoju, pomyślelibyście, że to sam święty Walenty, ten błogosławiony patron tancerzy, pojawił się przed wami we własnej osobie. Był podziwiany przez wszystkich Murzynów, którzy, młodzi i starzy, mali i wielcy, z farmy i z sąsiedztwa, stali formując piramidę błyszczących czarnych twarzy we wszystkich drzwiach i oknach, patrząc z przyjemnością na taniec, przewracając białkami oczu i pokazując w szerokim uśmiechu rzędy białych jak kość słoniowa zębów. Dziwili się skąd u tego postrachu szkolnych łobuzów tyle ożywienia i wesołości. Partnerką w tańcu była jego wybranka serca, która uśmiechała się wdzięcznie w odpowiedzi na wszystkie zalotne spojrzenia partnera, podczas gdy Brom Bones, pozostając pod silnym wpływem miłości i zazdrości, siedział w rogu sali knując zemstę.

Gdy taniec dobiegł końca, Ichabod przyłączył się do grupki zacnych obywateli, którzy, ze starym Van Tasselem na czele, siedzieli w jednym z końców werandy paląc i rozmawiając o dawnych czasach, opowiadając długie, wojenne historie.

Okolica ta, w czasach, o których mówię, była jednym z tych zaszczytnych miejsc, które obfitują w ważne wydarzenia historyczne i wielkie postacie. Podczas wojny rozciągały się w pobliżu okopy wojsk brytyjskich i amerykańskich; było to zatem miejsce często odwiedzane i grabione przez wyrzutków, kowbojów i innych przygranicznych rozrabiaków wszelkiego gatunku. Jako że minęło od tych wydarzeń dość czasu, każdy wspominający te historie miał prawo ubarwić je, przydając faktom trochę fikcji i, w swych przyprószonych czasem wspomnieniach, uczynić siebie bohaterem relacjonowanych wypadków.

Była tam historia Doffue'go Martling'a, wielkiego, niebiesko-brodego Holendra, który niemalże zdobył brytyjską fregatę z jednym, starym, żelaznym działkiem dziewięciofuntowym w walce wręcz, ale jego broń wypaliła dopiero za szóstym razem. Był tam też pewien starszy jegomość, który niech pozostanie bezimienny z uwagi na to, że jest zbyt ważną postacią aby wymieniać jego nazwisko z błahych powodów, który w bitwie pod White Plains, znając doskonale sztukę obrony, sparował pocisk z muszkietu małym sztyletem, i to tak udanie, że wyraźnie czuł, jak pocisk świsnął dookoła ostrza i ześlizgnął się na rękojeść; na dowód czego był on gotów, przy każdej okazji, pokazywać sztylet, którego rękojeść była dziwacznie wgięta. Było tam wielu innych, którzy byli nie mniej dzielni na polu bitwy, a każdy z nich zapewniał, że jego wyczyn przyczynił się walnie do zwycięstwa.

Jednak opowieści wojenne nie mogły nawet porównywać się z następującymi po nich historiami o duchach i zjawach. Jak wcześniej mówiłem, okolica obfitowała w tego typu legendy. Lokalne podania i przesądy kwitną wspaniale w takich odosobnionych, z dawien dawna zamieszkanych ustroniach. Gdzie indziej giną one stratowane pod stopami wędrujących tłumów. A jest to dziś większość populacji naszego kraju. Z tego powodu, duchy z naszych osad nie mają łatwego życia, ponieważ ledwie zdążą zakończyć swą pierwszą drzemkę i przewrócić się na drugi bok, ich żyjący przyjaciele odjeżdżają w siną dal, opuszczając okolicę i cmentarze; tak więc, gdy zmory zaczynają swoje nocne eskapady, nie znajdują już nikogo, kogo mogliby nastraszyć. I to prawdopodobnie jest powód, dla którego tak rzadko słyszymy o duchach, z wyjątkiem miejsc jak te, zamieszkałych przez osiadłych Holendrów.

Jednak ta bezpośrednia przyczyna, dla której nadnaturalne opowieści występują w niektórych okolicach, nie była dominującą w rejonie *Sennej Doliny*. Tu w samym powietrzu występował jakiś rodzaj magii, który rozprzestrzeniał się z tego miejsca, które zionęło atmosferą snów i fantazji i zarażało nimi dużą połać okolicznego kraju. Wielu mieszkańców *Sennej Doliny* było obecnych u Van Tassel'ów i, jak to było w zwyczaju, snuło swe dziwne i pełne cudów opowieści. Wiele ponurych historii o konduktach pogrzebowych, żałobnych płaczach i lamentach słyszanych i widzianych w pobliżu ogromnego drzewa, przy którym nieszczęsny major André został pojmany, a które rosło nieopodal. Niektórzy wspominali też o kobiecie ubranej na biało, która straszyła w mrocznej górskiej dolinie w Raven Rock i często jej krzyk był słyszany w zimowe noce przed burzą, w miejscu, w którym zginęła w czasie zimowej śnieżycy. Główną część opowieści zajmowało jednak najważniejsze widziadło z *Sennej Doliny*, Jeździec Bez Głowy, który słyszany był wiele razy późną porą, gdy przemierzał okolicę; i, jak poświadczano, wiązał co noc konia pomiędzy mogiłami na przykościelnym cmentarzu.

Odosobnione położenie tego kościoła czyniło zeń ulubione miejsce pojawiania się potępionych dusz. Zbudowany był na pagórku, otoczony drzewami chleba świętojańskiego i strzelistymi wiązami, spomiędzy których wyrastał, świecąc skromnie pobielonymi ścianami, jakby chrześcijańska czystość przebijała się przez cienie pogańskiego grzechu. Łagodne zbocze opadało stamtąd aż do srebrzystej powierzchni wody, ogrodzonej wysokimi drzewami, a poprzez ich konary można było dostrzec błękitne wzgórza nad rzeką Hudson. Patrząc na porośnięty trawą cmentarz, gdzie promienie słońca zdawały się padać tak łagodnie, że można było mieć pewność, że pochowani tam mogą rzeczywiście spoczywać w pokoju. Od jednej ze ścian kościoła ciągnęła się szeroka dolinka porośnięta drzewami, wzdłuż której, pomiędzy skałami i zwalonymi pniami drzew, przepływał szeroki potok. Nad ciemnym, niemal czarnym lustrem wody strumienia, niedaleko od kościoła, przerzucony był drewniany most; droga, która wiodła do niego i sam most, była skryta w głębokim cieniu rzucanym przez zwieszające się z góry gęste gałęzie drzew, cień ten utrzymywał się nawet w biały dzień; ale szczególne wrażenie robił w nocy. To było ulubione miejsce nawiedzane przez Jeźdźca Bez Głowy. Miejsce, gdzie był on najczęściej spotykany. Opowiadano o starym Brouwerze, największym niedowiarku jeśli chodzi o duchy, który spotkał Jeźdźca wracającego ze swego rajdu do *Sennej Doliny* i postanowił go zdemaskować. Opowiadał on, jak galopowali przez krzaki i zarośla, przez wzgórze i bagno, aż dotarli do mostu; tam Jeździec nagle zamienił się w kościotrupa, zepchnął Brouwera razem z koniem do strumienia a sam zniknął z hukiem grzmotu ponad wierzchołkami drzew.

Opowieść ta natychmiast została porównana z trzykrotnie bardziej niezwykłą przygodą Broma Bonesa, który, jak twierdził, napotkał Galopującego Najemnika w czasie swych konnych wypadów po okolicy. Opowiadał, że wracając pewnej nocy z wyprawy do sąsiedniej wioski o nazwie Sing Sing, został zaskoczony przez tego nocnego upiora; że zaproponował mu, żeby ścigał się z nim o dzbanek ponczu i z pewnością wygrałby bo Szaleniec wyprzedzał konia zjawy o całą długość, ale gdy tylko dogalopowali do kościelnego mostu, Najemnik czmychnął, znikając w błysku ognia.

Wszystkie te historie, opowiadane sennym półszeptem, jakiego używa się w czasie sekretnych rozmów w ciemności, gdy twarze słuchających tylko od czasu do czasu oświetlane są znikomymi błyskami palonych fajek, zapadły głęboko w umysł Ichaboda. Odwzajemnił się on zebranym znawcom legend szerokim wyborem z jego nieocenionego autora, Cotton Mather'a dodając wiele niezwykłych wydarzeń, które miały miejsce w jego rodzinnym stanie Connecticut oraz tajemnicze przygody, których doświadczał podczas swych nocnych wędrówek po *Sennej Dolinie*.

Zabawa tymczasem powoli dobiegała końca. Starzy farmerzy zbierali swoje rodziny na wozach i przez jakiś czas słychać było tętent dochodzący z dróg, przecinających dolinę i zamierający ponad odległymi wzgórzami. Niektóre z dziewcząt sadowiły się na poduszkach za siodłami, tuląc się do pleców swych adoratorów, a ich serdeczne śmiechy, wymieszane z tętentem końskich kopyt, odbijały się głuchym echem od lasu, brzmiąc ciszej i ciszej, aż stopniowo zanikały, a cała posesja, jeszcze przed chwilą hałaśliwa i rozbawiona, stawała się nagle cicha i wyludniona. Ichabod się ociągał - zgodnie ze zwyczajem okolicznych wielbicieli, chciał pozostać sam na sam ze swą wybranką - w pełni przekonany, że jest na pewnej drodze do sukcesu. Co zostało powiedziane w czasie tego sam na sam, nie będę próbował opisać, bo faktem jest, że po prostu nie wiem. Coś jednak, obawiam się, musiało pójść nie tak, bo Ichabod wypadł z domu po niedługiej chwili. Minę miał zatroskaną i przygnębioną. Och, te kobiety! Te kobiety! Czy może dziewczyna zabawiała się jakąś kokieteryjną sztuczką? Czy jej dotychczasowe zachęty pod adresem biednego pedagoga były zaledwie pozorami, którymi starała się rozbudzić serce jego rywala? Bóg raczy wiedzieć, ja nie śmiem dociekać! Powiem tylko, że Ichabod odszedł z miną człowieka, który raczej zdobył miejsce w kurzej grzędzie, zamiast w sercu damy. Nie patrząc ni w lewo ni w prawo, żeby nie widzieć tego obrazu wiejskiego bogactwa, na które miał tak wielką ochotę, skierował się prosto do stajni i kilkoma solidnymi szturchnięciami i kopniakami zmusił, niezbyt uprzejmie, do powstania swojego rumaka, który twardo spał w wygodnej zagrodzie, śniąc zapewne o górach kukurydzy i owsa albo całych dolinach tymotki i koniczyny.

Gdy Ichabod, z ciężkim sercem i zbity z tropu, wyruszył w drogę powrotną wzdłuż wysokich wzgórz, które wznoszą się ponad Tarry Town, a którą to drogę pokonywał tego popołudnia w tak beztroskim nastroju, zapadała właśnie najbardziej mroczna godzina nocy. Tak samo ponura, jak on. Daleko przed nim, Tappan Zee rozlewała swe ciemne i niewyraźne łany wody, z widocznymi, wysokimi masztami jachtów rozsianych tu i ówdzie, i kołyszących się spokojnie na kotwicach przy brzegu. W grobowej ciszy północnej pory, mógł nawet usłyszeć szczekanie psa-stróża, dobiegające z drugiej strony rzeki Hudson; ale było ono tak nikłe i słabe, że dawało jedynie świadomość ogromnej odległości w jakiej znajdował się ten najwierniejszy przyjaciel człowieka. Od czasu do czasu mógł też usłyszeć przewlekłe pianie koguta, przypadkiem zbudzonego gdzieś w odległej zagrodzie pomiędzy wzgórzami - ale było to jak głos ze snu dla jego uszu. W pobliżu nie było znaku życia, oprócz przypadkowych, melancholijnych świergotów polnych koników, albo gardłowego pobrzękiwania ropuchy w okolicznych bagnach, jak gdyby źle spała i nagle zerwała się ze swego posłania.

Wszystkie historie o duchach i zjawach, których słuchał cały wieczór, teraz zaczynały opanowywać jego wyobraźnię. Noc stawała się coraz czarniejsza, gwiazdy zdawały się tonąć w głębinach nieba, a wędrujące chmury od czasu do czasu zupełnie kryły je przed jego wzrokiem. Nigdy jeszcze nie czuł się taki samotny i przygnębiony. Co więcej, zbliżał się do terenów, na których rozgrywała się akcja większości zasłyszanych historii. Pośrodku drogi stało ogromne drzewo tulipanowe, które górowało jak olbrzym nad innymi drzewami dookoła i stanowiło rodzaj punktu orientacyjnego. Jego gałęzie były powykrzywiane w fantazyjne kształty, grube tak, że mogły tworzyć pnie wielu pojedynczych drzew, skręcone ku dołowi prawie do samej ziemi i wznoszące się na nowo w górę. Z drzewem tym związana była tragiczna historia nieszczęsnego André, który nieopodal został wzięty do niewoli i dlatego powszechnie znane było pod nazwą drzewa majora André. Zwykli ludzie traktowali je z mieszaniną szacunku i przesądu, częściowo niechętnie ze względu na los nieszczęsnego bohatera, od któ-

rego wzięło nazwę, częściowo z powodu opowieści o strasznych zjawach i żałosnych lamentach przytaczanych w opowieściach.

Gdy Ichabod dojeżdżał do tego niesamowitego drzewa, zaczął gwizdać dla dodania sobie otuchy, gdy niespodziewanie doznał wrażenia, że coś odpowiedziało na jego gwizd; jakby coś nagle przemknęło ze świstem pomiędzy suchymi gałęziami. Gdy zbliżył się jeszcze bardziej, wydało mu się, że widzi coś białego, coś, co wisiało w środku konaru drzewa; zatrzymał się, przestał gwizdać, ale, przyjrzawszy się uważniej, doszedł do wniosku, że było to miejsce, gdzie w drzewo musiał ugodzić piorun, pozostawiając biały ślad na korze. Chwilę później jego uszu dotarł dziwny jęk i zęby biednego nauczyciela zaczęły szczękać a kolana przywarły kurczowo do siodła, ale jak się okazało, był to jedynie odgłos ocierających się o siebie gałęzi, gdy kołysały się w lekkich podmuchach bryzy. Minął drzewo bez dalszych przygód, ale nowe strachy już czyhały na jego drodze.

Jakieś dwieście jardów od drzewa, drogę przecinał mały strumyk, który wpływał na podmokłą i gęsto zarośniętą dolinkę, znaną jako Wiley's Swamp. Kilka wywróconych konarów, które ułożono obok siebie, służyło za most nad tym strumykiem. Po tej stronie drogi gdzie strumień wpływał do lasu, kępa dębów i kasztanowców, gęsto splątanych dzikim winogronem, tworzyła mroczne sklepienie ponad traktem. Przebyć ten most wymagało nie lada odwagi. To właśnie w tym miejscu nieszczęsny André został zaskoczony, gdy pod parasolem kasztanowców i winogron, zuchwały wróg ukrył się by na niego napaść. Majorowi udało się uciec jedynie do drzewa tulipanowego, pod którym ostatecznie jego los został przypieczętowany. Strumień ten zawsze uważany był za nawiedzany przez złe moce i ten, kto przemierzał go samotnie po zmroku doświadczał lęków niczym uczniak.

Gdy Ichabod dojechał do strumienia, jego serce zaczęło bić mocniej; jednak zmobilizował całe swe opanowanie, solidnie kopnął konia po żebrach i już miał zamiar przecwałować jak najszybciej przez most, gdy jego wierzchowiec, niewdzięczne, stare zwierzę, zamiast ruszyć do przodu, obrócił się w bok i popędził prosto na żywopłot. Ichabod, którego strach rósł wraz z upływem czasu, przerzucił lejce na drugą stronę i kopnął konia drugą nogą, wszystko na marne; jego rumak rzeczywiście zawrócił, ale po to tylko by dać nura w gęste jeżyny i olszynę po przeciwnej stronie drogi. Nauczyciel wymierzył jednocześnie batem i piętami ciosy w wygłodzone żebra starego Procha, który wyrwał do przodu, charcząc i parskając, ale zatrzymał się tuż przed mostem i to tak nagle, że o mały włos nie wyrzucił jeźdźca z siodła ponad swoim łbem. Dokładnie w tej samej chwili czułe ucho Ichaboda wychwyciło odgłos ciężkiego stąpania z pluskiem, które dochodziło z jednej ze stron mostu. W ciemnym cieniu zarośli, na brzegu strumienia, ujrzał on zarys czegoś wielkiego, bezkształtnego i wysokiego. Postać pozostawała nieruchoma, ale zdawała się czaić w półmroku, jak jakieś ogromne monstrum, gotowe skoczyć na podróżnego.

Włosy na głowie przerażonego pedagoga stanęły dęba. Co miał zrobić? Zawrócić i uciekać było już teraz za późno, a poza tym jaką szansę miałby uciekając przed duchem albo zjawą, która przecież umiała szybować na skrzydłach wiatru? Zebrał się więc na najwyższą odwagę i zawołał drżącym się głosem, "Kto tam?" Nie było żadnej odpowiedzi. Powtórzył swe pytanie, jeszcze bardziej nerwowym tonem. Wciąż nic, zupełna cisza. Po raz kolejny kopnął w bok nieruchomego Procha i zamknąwszy oczy zaczął z instynktownym zapałem śpiewać psalm. W tym momencie ciemna postać poruszyła się i gramoląc i sapiąc stanęła pośrodku drogi. Chociaż noc była bezksiężycowa i mroczna, jednak kształt nieznajomego zarysował się wyraźnie przed oczami przerażonego Ichaboda. Było oczywiste, że jest to jeździec, dosiadający czarnego, mocno zbudowanego konia. Postać pozostawała nieruchomo, nie okazując oznak ani agresji

ani przyjaźni. Tajemniczy jeździec trzymał się prawej strony drogi, a gdy Ichabod zmusił wreszcie Procha do biegu, jeździec ruszył w tym samym kierunku, pozostając cały czas po stronie ślepego oka konia.

Ichabod poganiał konia jak tylko mógł, chcąc prześcignąć niechcianego towarzysza. Dziwny jeździec poganiał konia w takim samym tempie, nie ustępując ani na krok. Ichabod ściągnął cugle i przeszedł do stępa, mając nadzieję, że w ten sposób pozbędzie się natręta, ale tamten zrobił to samo. Serce Ichaboda zaczęło zamierać, zdołał przypomnieć sobie śpiewany psalm, ale jego wyschnięty język przywarł do podniebienia skutkiem czego nie był w stanie wydobyć z siebie nawet jednej nuty. Jednocześnie w lęk wprawiał go fakt, że było coś dziwnego i tajemniczego w tym cichym, ponurym i zawzięcie upartym towarzyszu. Odkrycie przyczyny okazało się przerażające. Gdy tajemnicza postać przejeżdżała przez pagórek, zarys jej postaci, wielkiej, wysokiej i owiniętej w płaszcz, wyraźnie odbił się na tle nieba i Ichabod uświadomił sobie ze zgrozą, że jeździec nie miał głowy! Jego przerażenie jeszcze wzrosło, gdy zauważył, że głowę, która powinna spoczywać na jego karku, wiózł on przed sobą przytroczoną do łęku siodła! Jego strach natychmiast zmienił się w panikę; grad kopnięć i ciosów spadł na Procha, dając Ichabodowi nadzieję na nagły skok, którym oderwałby się od zjawy, ale zjawa skoczyła równo z nim. Wciąż więc, ramię w ramię, galopowali przez gęstwinę, a przy każdym susie, spod końskich kopyt sypały się iskry i kamienie. Ubranie Ichaboda powiewało w pędzie gdy wychylał zapamiętale swój tułów jak najdalej ponad końskim łbem.

Dotarli do drogi, która wiodła prosto do *Sennej Doliny*, ale Proch, który zdawał się opętany przez jakiegoś demona, zamiast trzymać się traktu, zrobił zwrot w przeciwnym kierunku i puścił się na złamanie karku zboczem w lewą stronę. Ta droga ciągnęła się jakieś ćwierć mili przez piaszczystą dolinkę ocienioną drzewami, gdzie docierała do mostu słynnego z opowieści o duchach, a nieco dalej do wydymającego się zielonego wzgórza, na którym zbudowany był pobielany kościół.

Na razie panika w jaką wpadł wierzchowiec dała niewprawnemu jeźdźcowi pewną przewagę w tej upiornej gonitwie, ale gdy był w połowie drogi przez dolinkę, popręgi jego siodła zluzowały się i poczuł jak siodło wyślizguje się spod niego. Próbował przytwierdzić popręgi do łęku, trzymając jak najmocniej, ale na próżno, zdążył jedynie uchronić się przed upadkiem z konia, chwytając go oburącz za szyję, podczas gdy siodło zsunęło się na ziemię i usłyszał jak zostało stratowane kopytami upiora, który pędził tuż za nim. Przez chwilę pomyślał, co na to powie rozgniewany Hans Van Ripper, ponieważ było to jego odświętne siodło, ale czas nie był po temu, żeby rozważać tak błahe sprawy; zjawa pędziła tuż za ogonem jego konia i nauczyciel, który przecież nie należał do najświetniejszych jeźdźców, musiał dokładać wielkich starań, aby utrzymać się na grzbiecie zwierzęcia, chwilami zsuwając się na jedną stronę, chwilami na drugą, a czasami podskakując na samym zadzie konia i to z taką gwałtownością, że poważnie obawiał się, że rozpadnie się na pół.

Wjazd między drzewa natchnął go nadzieją, bo przykościelny most był tuż tuż. Podrygujące na wodzie odbicia srebrnych gwiazd utwierdziły go w tym przekonaniu. Zobaczył też ściany świątyni, nieznacznie bielejące między drzewami. Rozpoznał miejsce, gdzie zniknął nadprzyrodzony rywal Broma Bonesa. "Gdybym tylko zdołał dotrzeć do mostu," pomyślał Ichabod, "będę bezpieczny." Zaraz potem usłyszał czarnego rumaka, sapiącego i dyszącego blisko za nim, tak że miał wrażenie, że czuje jego gorący oddech. Jeszcze jedno nerwowe kopnięcie w żebra i stary Proch wskoczył na most, po którym przemknął jak błyskawica dudniąc kopytami o drewniane podłoże, dotarł do drugiej strony, gdy Ichabod rzucił za siebie krótkie spojrzenie, badając czy jego prześladowca zniknął, zgodnie z opowieściami, w błysku ognia i siarki. Właśnie

wtedy dojrzał zjawę, unoszącą się na strzemionach i ciskającą w jego stronę swoją głową. Ichabod usiłował uchylić się przed tym przerażającym pociskiem, ale było za późno. Głowa Jeźdźca Bez Głowy trafiła w jego potylicę z potężnym trzaskiem, Ichabod przeleciał ponad końską szyją i wylądował z hukiem w pyle drogi, a Proch, czarny rumak i upiorny jeździec, minęli go z szybkością powietrznej trąby.

Następnego ranka stary koń został znaleziony, bez siodła i z cuglami pałętającymi się koło nóg, jak spokojnie gryzł trawę przed bramą swojego właściciela. Ichabod nie zjawił się na śniadanie; nadeszła pora kolacji, ale Ichaboda nie było. Uczniowie zeszli się do szkoły i wałęsali bezczynnie nad brzegami strumienia, ale nie doczekali się przybycia nauczyciela. Hansa Van Rippera zaczęły ogarniać złe podejrzenia, co do losu biednego Ichaboda a jeszcze bardziej losu jego siodła. Wszczęto poszukiwania i po drobiazgowym śledztwie, natrafiono na ślady siodła. W jednym miejscu, na drodze wiodącej do kościoła, znaleziono je, kompletnie stratowane; ślady końskich podków odciśnięte głęboko w ziemi świadczyły o wielkiej szybkości z jaką musiało pędzić zwierzę. Ślady wiodły przez most a tuż za mostem, na brzegu strumyka w jego szerszym i głębszym odcinku, znaleziono kapelusz nieszczęsnego Ichaboda a tuż obok resztki roztrzaskanej dyni.

Potok został przeszukany, ale nie znaleziono ciała nauczyciela. Hans van Ripper jako spadkobierca własności Ichaboda, zbadał zawartość jego tobołka, który zawierał cały dobytek pedagoga. Składały się nań dwie koszule i podkoszulek, dwa sztywne kołnierzyki, para lub dwie samodziałowych skarpet, stara para sztruksowej bielizny, zardzewiała brzytwa, książka z psalmami pełna pozaginanych rogów i połamany kamerton do ćwiczeń śpiewu. Jeśli chodzi o książki i wyposażenie szkoły, to należały one do wspólnoty, z wyjątkiem "Dziejów czarownic w Nowej Anglii" Cotton Mather'a, i księgi snów i przepowiedni, w której na końcu znaleziono arkusz papieru w większości zapisany i poplamiony kleksami świadczącymi o wielu, nieudanych próbach wykonania kopii wierszy ku czci spadkobierczyni dóbr Van Tassela. Te magiczne księgi i poetyckie zapiski zostały bezzwłocznie spalone przez Hansa Van Rippera, który, od tego czasu, zdecydował nie posyłać swoich dzieci do szkoły, twierdząc, że nigdy nie widział aby coś dobrego wynikło z czytania i pisania takich rzeczy. Wszystkie pieniądze, jakie posiadał nauczyciel, a dzień lub dwa wcześniej otrzymał swą kwartalną pensję, musiał mieć przy sobie w chwili zniknięcia.

Tajemnicze zdarzenie spowodowało wiele spekulacji po niedzielnym nabożeństwie. Grupki gapiów i plotkarzy zbierały się na kościelnym dziedzińcu, cmentarzu, na moście i w miejscu, gdzie znaleziono kapelusz i dynię. Opowieści o Brouwerze, Bonesie i wielu innych zostało przy okazji przypomnianych, a gdy wszystkie drobiazgowo rozważono i porównano ze śladami dotyczącymi ostatniej sprawy, pokiwano głowami i zaakceptowano wyjaśnienie, że Ichabod został porwany przez Galopującego Najemnika. Ponieważ był on kawalerem i nikomu nie był nic winny, nikt więcej się nim nie przejmował, szkołę przeniesiono w inną część doliny a nowy nauczyciel zajął jego miejsce.

Prawdą jest, że pewien stary farmer, który kilka lat później jeździł z wizytą do Nowego Jorku, od którego niniejsza opowieść o nadprzyrodzonych przygodach nauczyciela została zasłyszana, przywiózł do domu wiadomość, że Ichabod Crane nadal żyje; że opuścił okolicę częściowo z powodu lęku przed zjawami i gniewem Hansa Van Rippera, a częściowo z rozpaczy po nagłym odrzuceniu przez dziedziczkę, że osiedlił się w odległej części kraju, że prowadził tam szkołę i jednocześnie studiował prawo, że został przyjęty do palestry, został politykiem, że brał udział w wyborach, pisał do gazet a wreszcie został sędzią w Ten Pound Court. Brom Bones, który krótko po zniknięciu rywala triumfalnie powiódł do ołtarza Katarzynę, jak zauważono, uważnie

przysłuchiwał się wszelkim opowieściom o Ichabodzie i zawsze wybuchał śmiechem na wspomnienie o dyni, co dawało niektórym do myślenia i napełniało podejrzeniami, że wiedział on znacznie więcej o całej sprawie, niż był skłonny powiedzieć.

Jednak starsze, wiejskie gospodynie, które, jak wiadomo, są najlepszymi znawcami takich rzeczy, utrzymują po dziś dzień, że Ichabod został porwany przez duchy w jakiś nadprzyrodzony sposób, a całe zdarzenie stało się jedną z ulubionych historii opowiadanych przy kominku w długie zimowe wieczory. Most stał się miejscem jeszcze bardziej strasznym, i być może z tego powodu, w późniejszym czasie, zmieniono bieg drogi tak, aby dochodziła do kościoła wzdłuż brzegu stawu. Opuszczony budynek starej szkoły popadł w kompletną ruinę i mówiono, że jest nawiedzany przez ducha nieszczęsnego nauczyciela, a jeden parobek, wracając do domu w cichy letni wieczór, słyszał jego głos w oddali, wyśpiewujący psalmy w spokojnej samotności *Sennej Doliny*.